KWARTALNIK LITERACKI

Wyspa

nr 2 (50) 2019



Wojciech Młynarski
Jarosław Mikołajewski
Jakub Małecki
Bohdan Butenko
Ewa Pobłocka
Biserka Rajčić
Jerzy W. Borejsza

Mirosław Bańko, Danuta Cirlić-Straszyńska
Józef Częścik, Marek Czuku, Aleksandra Domańska,
Janusz Drzewucki, Ewa Gruda, Rafał Grupiński
Wojciech Kaliszewski, Krystyna Lenkowska
Paweł Majcherczyk, Karol Maliszewski
Łukasz Michalski, Piotr Milewski, Filip Porębski
Anna Rozwadowska-Zając
Hanna Strychalska, Piotr Szewc
Iga Świerżewska, Piotr Wojciechowski
Tomasz Zbigniew Zapert, Jan Zieliński

ISSN 2083-7720
02
9 772083 772198

Wyspa
KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 2083-7720

nr 2 (50) 2019

www.kwartalnikwyspa.pl

Adres redakcji: 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 6/8

Redaktor naczelny:
Piotr Dobrołęcki (dobrolec@warman.com.pl)

Zastępca redaktora naczelnego
Ewa Tenderenda-Ożóg
(kontakt@kwartalnikwyspa.pl)

Proza: Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojasiński

Poezja: Katarzyna Bieńkowska
(katarzyna.bienkowska@gmail.com)

Felietony: Mirosław Bańko, Karol Maliszewski,
Piotr Wojciechowski, Jan Zieliński

Galeria: Małgorzata Karolina Piekarska

Kronika regionalna: Lilla Latus
(lilla.latus@neostrada.pl)

Opracowanie plastyczne: Urszula Dulewicz

Ilustracje w tekście i na okładce
Bohdan Butenko

Opracowanie graficzne:
Stanisław Małecki, Grzegorz Zychowicz

Skład: TYPO2

Druk i oprawa: Totem.com.pl

Wydawca: Biblioteka Analiz Sp. z o.o.
Prezes zarządu: Ewa Tenderenda-Ożóg

Biblioteka Analiz

Odwiedź nas na Facebooku:
www.facebook.com/WyspaKwartalnikLiteracki/

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian. Prosimy o przesyłanie tekstów w formacie doc lub rtf o objętości do 30 tysięcy znaków ze spacjami w przypadku prozy i esejów oraz do 10 wierszy w przypadku poezji.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 801 205 555), a także przez stronę internetową Kwartalnika Literackiego WYSPA: www.kwartalnikwyspa.pl

PROZA

Jakub Małecki
Horyzont ... 11

Ewa Pobłocka
Mój Gdańsk ... 31

Anna Rozwadowska-Zając
Miałam tylko szesnaście lat ... 43

Aleksandra Domańska
Notatki Drugie ... 64

Józef Częścik
Anatomia diabła ... 74

MAŁE NOWE PROZY

Filip Porębski
Mamo, idziemy ukraść niebo! ... 120

ESEJ

Janusz Drzewucki
Niewypowiedziana tajemnica życia (Nad wierszami Kornela Filipowicza) ... 35

Hanna Strychalska
Jeden człowiek, cały świat ... 89

Wojciech Kaliszewski
Różewicz widziany z bliska ... 108

Paweł Majcherczyk
Flaneryzm wrocławski. Appendix antymapy kulturalnej ... 134

Tomasz Zbigniew Zapert
Nie oczekuję dziś nikogo ... 136

POEZJA

Jarosław Mikołajewski
Starość ... 4
Syrakuzy ... 6
Współistnienie ... 8
Aetatis suae ... 9
Cisza przedwyborcza ... 10
Madonna di Saska Kępa ... 10

Wojciech Młynarski
Poemat urodzinowy ... 28

Krystyna Lenkowska
Próba nudy ... 54
Zimowa fizyka nad rzeką ... 54
Koral i karmin ... 56
*** [Przypływ odpływ] ... 57
Niebieska wiewiórka święto-krzyska ... 58

Spis treści

Piotr Szewc
Morwa ... 73

Rafał Grupiński
*** [Andrzejowi Stasiukowi] ... 86
*** [Spotkanie dalekich chmur z niebem] ... 87
*** [A jednak boisz się ciemności] ... 88
*** [Pogrom] ... 88

NOWE NAZWISKA

Łukasz Michalski
*** [chciałbym napisać] ... 114
Czeczenia ... 115
Modlitwa ... 116
Niebo ... 117
Mińsk ... 118
*** [Za oknem ciężki śnieg] ... 119

Iga Świerżewska
Gdzie kończy się wszechświat ... 104
Adresat nieznany ... 105
Klucz ... 106
Z nieba ... 107
Kapelusz ... 107

WYWIAD

Fortepianowa czerń
Z Bohdanem Butenką
rozmawia Ewa Gruda ... 16

Wybór na całe życie
Z Biserką Rajčić rozmawia
Danuta Cirlić-Straszyńska ... 60

Historyk w świecie wydawców
Z prof. Jerzym W. Borejszą
rozmawia Piotr Dobrołęcki ... 96

KRONIKI I KALENDARIA

Piotr Milewski
Dziennik z japońskiej prowincji (I) ... 49

Marek Czuku
Wędrowniczek Marka Czuku (10) ... 124

FELIETONY

Mirosław Bańko
Wielka zmiana ... 41

Jan Zieliński
Malwa ... 69

Karol Maliszewski
Niepodleganie podległości, czyli gdzie jesteś,
literaturo, i jak się tam czujesz? ... 93

Piotr Wojciechowski
Lutnik, czyli elity sumienia,
elity manipulacji ... 111

GALERIA NA „WYSPIE"

Małgorzata Karolina Piekarska ... 24

PERYSKOP

Piotr Dobrołęcki
Z redakcyjnej poczty ... 141

RECENZJE

Anna Musiał
Rubato, czyli poezja na kursie kolizyjnym
(Joanna Fligiel, *Rubato*) ... 146

Katarzyna Michalewska
Efekt motyla
(Jerzy Grupiński, *Sposób na motyle*) ... 149

Wydanie dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Jerzy Grupiński
Przesłanie jasne, na wyrost katastroficzne… (Jerzy B. Zimny, *Księga wyjść)* ... 151

Kamila Dzika-Jurek
Rozmowa w milczeniu (Lidija Dimkovska, *Non-Oui)* ... 152

Leszek Kamiński
Obywatel globalnego świata (Maya Jassanoff, *Joseph Conrad i narodziny globalnego świata*) ... 155

Grzegorz Sowula
Mecenas rozwoju urbanistycznego Warszawy (Andrzej Skalimowski, *Sigalin. Towarzysz odbudowy*) ... 158

Bartosz Marzec
Szarża ciężkiej kawalerii (Radosław Sikora, *Husaria. Duma polskiego oręża*) ... 159

Grzegorz Sowula
Sny o potędze (Agnieszka Rybak, Anna Smółka, *Wieża Eiffla nad Piną*) ... 161

Krzysztof Jan Drozdowski
Rozważania o końcu historii? (Timothy Snyder, *Droga do niewolności*) ... 162

Krzysztof Jan Drozdowski
O jedną książkę za dużo (Antony Beevor, *Arnhem. Operacja Market Garden*) ... 171

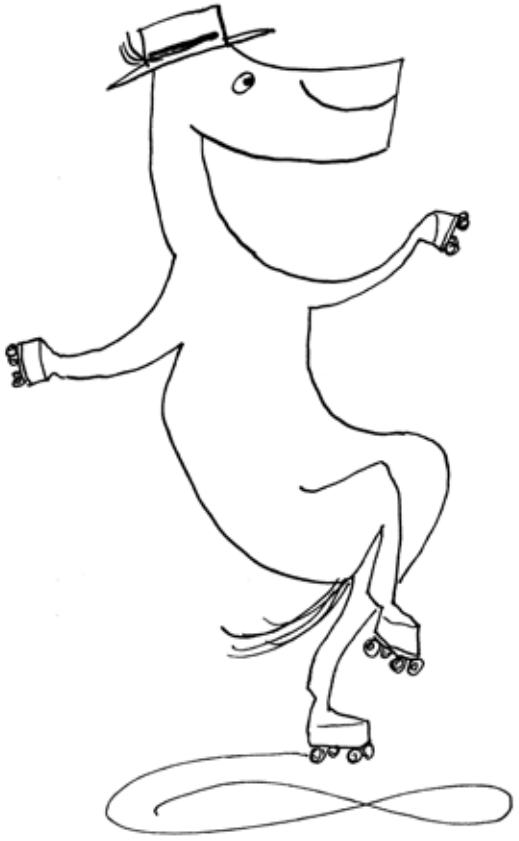
KRONIKA

Redaguje Piotr Dobrołęcki ... 178

KRONIKA REGIONALNA

Redaguje Lilla Latus ... 183

NASI AUTORZY ... 191



Jarosław Mikołajewski

Starość

na początku była galeria
handlowa

w wielkim lustrze zobaczyłem
wyblakły liść

szedł mi naprzeciw miał
w oczach półoddech
gasnącego słońca

potem w sklepie ze sprzętem
sprzedawca odpysknął
bardzo niecierpliwie

a przecież sprzęt był
dla mojej starej mamy która
przeżyła powstanie
i straciła w nim ojca

która nie jest jeszcze bursztynem
ani mchem tysiącletnim tylko
żywą i często bezsenną istotą

później ekspedientka
spoza białej lady odburknęła
na pytanie gdzie są drzwi
do pałacu

i patrzyła na mnie jak na
przezroczystość

wreszcie chłopak w metrze ustąpił
mi miejsca

pamiętam dzień kiedy ktoś
powiedział
jesteś stary

myślałem że były to
słowa na wyrost a to była tylko
odroczona prawda

tak

jestem odbiciem
które błąka się nocą
pod nieobecność spłowiałego liścia

a jeszcze niedawno
szeptałem coraz to inne imiona
które odpowiadały mi
moim imieniem

był to chór barwny
i obiecujący

Syrakuzy

ach gdybym mówił
językami morza
morzem nie będąc
to byłbym kim jestem

kto z tarasu patrzy
na starą kobietę
na wschodnim wybrzeżu
której zegar słoneczny
własnym cieniem odmierza
wieczny obrót ziemi
czas swój lecz nie morza

morze cierpliwe jest nie szuka
poklasku

samo jest
poklaskiem
bezkresnym
aplauzem

nigdy
się nie kończy
nigdy
nie ustaje

tylko w pewne chwile
płynie w drugą stronę
pod głębokim księżycem
na głębokie wody

morze wyciąga ku nam
białą pianę
jak zwierzę w klatce
co się bawi niemądrą
wiarą w jego niemoc

morze jest piękne jakby
bóg naprawdę
wysłał nas tylko
po relację o nim
stęskniony za tym swoim
najlepszym stworzeniem

morzem nie można
się zmęczyć
lecz można
zmęczyć innych
więc wracam ze słowa
być tam gdzie mnie
nie ma i nie być
gdzie byłem

Współistnienie

w życiu innych
trzeba mi być jak
zmarli

nie pukać

czekać aż się spotka
moje ciche wystawanie
na klatce

z ich samowolną
potrzebą spaceru

tylko do tego
mogę się zobowiązać

wzajemnie

do śmierci i
po śmierci

Aetatis suae

w porannym metrze przed drugim
przystankiem
przedwcześnie przyszła spodziewana
starość

nie chcę nikogo
na własność

nie chcę być niczyją
własnością

radość bezbolesnych
wspomnień
zakłócają sprzedawcy
swoich niespełnionych
pragnień

jestem wolny
od nich
ale nie od ich rozczarowań

uciekam w senne
kołysanie wagonu

na stacji docelowej
wiem już co się zdarzy

próba wytchnienia które bez końca
będzie kroić
tępa piła bezsenności

twarze proszonych
i niechcianych gości

bez końca?

Cisza przedwyborcza

gdziekolwiek będziesz rzuć miejscowemu
żebrakowi monetę a jeśli usłyszysz jego
lament jestem chory jestem
nieszczęśliwy i nie kocham
nikogo usiądź obok niego i daj mu
swój talent ułóż z nim piosenkę a dostaniesz
w zamian jego pustkę chorobę
cierpienie i biedę i poczujesz szczęście
tych co na nieswojej ziemi odnajdują się w cudzej
melodii wśród ludzi pośród których nie ma
twoich córek i matki i nawet są pewni
że nie rozpozna ich pies kochający
który tak bardzo ukochał że odda
życie za przyjaciół i głos za milczenie
tych co zagłuszają szmer twojego serca
które bije w tej chwili krwią żebraka z kraju
powszechnego głodu którego nie sposób
nasycić żadną obietnicą chyba że ją znajdzie
w oczach jutrzejszego świtu ale dzisiaj
jest na nią za wcześnie za późno za
trudno

Madonna di Saska Kępa

w domu mojej matki boskiej
jest na piętrze obraz włoski
najpierw w progu jej mieszkania
słyszę kaszel pożegnania
a gdy wyjdę ze schodowej
klatki wnet zadzieram głowę
gdzie madonna z cinquecenta
macha ręką uśmiechnięta

Jakub Małecki

Horyzont

fragment

Boisz się alarmów samochodowych.

Boisz się tego, że boisz się alarmów samochodowych. Ciągle się rozglądasz, czegoś wypatrując. Nie dajesz rady w supermarketach. W zatłoczonym autobusie. W kolejkach. Wszyscy mężczyźni, których mijasz na ulicy, krzywo na ciebie patrzą.

Jesteś zmęczony, ale nie możesz zasnąć. Wygniatasz pościel, co kilka minut sprawdzając godzinę na komórce. Wydaje ci się, że sąsiad bije żonę. Wydaje ci się, że wszyscy sąsiedzi biją swoje żony. Powinieneś coś z tym zrobić. Czy oni w ogóle wiedzą? Nie wiedzą. Spodziewałeś się, że po powrocie będziesz kimś, może nawet bohaterem, a jeśli nie, to chociaż właśnie kimś, ale wyszło zupełnie inaczej.

Nikt cię nie rozumie. Nie rozumieją cię ci, którzy wcześniej rozumieli. Ojciec. Siostra. Najlepszy przyjaciel z dzieciństwa. Uświadamiasz sobie, że jesteś innym gatunkiem człowieka niż wszyscy wokół ciebie.

Twoim językiem posługują się tylko ci, z którymi byłeś tam. Raz w roku chodzisz z nimi na piwo i wtedy, ten jeden raz w roku, czujesz się normalnie, na swoim miejscu, ale szybko się upijacie, to uczucie mija i wkrótce jest po wszystkim. Podczas honorowej sprzeczki o to, kto płaci za alkohol, widzisz, że jeden z kumpli zakleił w dowodzie osobistym swoje zdjęcie. Zastanawiasz się, czy on też czasami, tak samo jak ty, musi się golić na wyczucie, patrząc w umywalkę. Pamiętasz, jak jeszcze na pustyni wasz kierowca przybił prawo jazdy nożem do tablicy rozdzielczej w taki sposób, żeby ostrze przechodziło przez środek twarzy. Wydawało ci się to wtedy trochę głupie, trochę straszne. Rano wymieniacie kilka wiadomości o tym, jak to było ostro i kto co zgubił, kto rzygał. Żaden z was nie proponuje, by spotykać się częściej.

***

Podobno twoim jedynym problemem jest to, że nie masz już żadnych problemów.

Cieknący kran, awantura w święta, płacząca mama i dziesięć kilogramów przybranych w miesiąc, do tego przeziębienie i trzy niezapłacone raty kredytu za samochód – to wszystko nie są problemy. Problem jest wtedy, gdy do ciebie strzelają. Nic więc nie robisz z cieknącym kranem, w święta urządzasz awanturę, tyjesz i przestajesz spłacać kredyt.

Ludzie zaczynają cię wkurwiać. Te wszystkie zapatrzone w siebie głąby, które o niczym nie mają pojęcia. Nie możesz pogodzić się z myślą, że na ulicy taki głąb wygląda właściwie tak samo jak twoi koledzy z misji – że to nie jest z zewnątrz jakoś rozróżnialne.

Po pewnym czasie dochodzisz do wniosku, że jedyną sensowną – jedyną możliwą – opcją jest powrót na wojnę. Tam znowu udowodnisz, ile jesteś wart, tam wszyscy będą cię rozumieć. Masz przed sobą dwie drogi. Wracasz, a potem znowu, a im częściej to robisz, tym silniejsza jest potrzeba kolejnego powrotu, wreszcie dowódca po przyjacielsku mówi ci, żebyś dał sobie spokój, że zaczynasz świrować. Druga możliwość to nie wracać w ogóle, tak jak ja, ale wtedy tak samo świrujesz. Ta historia prawie nigdy nie ma dobrego zakończenia, choć są tacy, którzy wierzą, że o dobre zakończenie mimo wszystko warto walczyć, bo wcześniej też o wszystko walczyli.

Robisz się coraz starszy, ale ta walka nie staje się łatwiejsza – czasem masz wrażenie, że tak, ale potem okazuje się, że to tylko wrażenie. Bijesz się w barze z ludźmi, którzy wcale nie chcieli się bić. Pijesz albo bierzesz leki.

W końcu uświadamiasz sobie, że głównym powodem, dla którego nie popełniasz samobójstwa jest to, że twoim rodzicom, twojej siostrze i kumplowi byłoby później bardzo przykro. Żyjesz dalej.

***

W korku na Niepodległości, uwięziony pomiędzy głośnym techno z porche i jeszcze głośniejszym disco polo z jeepa, pomiędzy chodnikiem pełnym najwyraźniej spóźnionych gdzieś ludzi i autobusem pełnym ludzi smutnych, postanawiam, wbrew wcześniejszym postanowieniom, napisać do Zuzy.

„Powiedz, że miałaś dzisiaj WYJĄTKOWO kiepski dzień".

Zuza odpisuje po dwóch i pół metra.

„6/10. Ale nie odmówię, ponieważ jestem miła".

Czterdzieści pięć minut zmarnowanego dnia później parkuję pod ziemią, na miejscu z wielkim żółtym numerem 26. Ostatnio wszystko w moim życiu ma numer albo opatrzone jest hasłem, albo jedno i drugie. Na zewnątrz słońce chowa się za wieżowcami Mordoru, co nie znaczy, że idąc do sklepu się nie pocę – pocę się.

Ze względów strategicznych unikam kupowania alkoholu w najbliższej żabce, ale tym razem sytuacja jest wyjątkowa, bo wyjątkowo nie chce mi się chodzić dalej, więc dwa razy żołądkowa, raz grant's zero siedem, na wszelki wypadek albo na później, do tego chipsy, cebulowe dla niej i solone dla mnie. Po cebulowych na osiemdziesiąt procent będę miał zgagę.

Blok, w którym mieszkam, wygląda, jakby zbudowano go dla ludzi młodszych ode mnie, wszystko tu jest kolorowe, modne, minimalistyczne i funkcjonalne – ja nie jestem ani modny, ani funkcjonalny, mam trzydzieści sześć lat, problemy ze snem i syndrom stresu pourazowego, choć w papierach napisali mi, że nie.

Na klatce pachnie sukcesem. Egzotyczna roślina podlewana przez wytatuowane małżeństwo spod trzydziestki, dwa rowery w stylu vintage przypięte do barierki mimo

zakazu umieszczonego obok zdezaktualizowanych życzeń na święta. Same życzenia na święta minimalistyczne, ironiczne, w rogu bateria do elektrycznej hulajnogi.

Wchodzę do części wspólnej, potem do mieszkania, choć mieszkanie to jednak zbyt dużo powiedziane. Mam tu dwadzieścia metrów kwadratowych, dokładnie dziewiętnaście przecinek sześć, na których jakiś czarodziej architektury wnętrz zmieścił pokój, aneks kuchenny, łazienkę i coś, co czasami zdarza mi się nazwać przedpokojem. Wynajmujący kupił stumetrowe mieszkanie, a potem podzielił je na cztery mniejsze i wynajął, każde za „tysiąc dziewięćset, w tym prąd, gaz i internet". Interes dobry, pomysł świetny, tylko mieszkać chujowo.

Najpierw szukam Wemka. Nie trzymam go w żadnym terrarium – uważam, że dla dostojnego żółwia z Afganistanu te dwadzieścia metrów to i tak ciasnota – dlatego czasami trudno go znaleźć wśród szpargałów, które trzymam na podłodze. Chodzę i wypatruję.

– Wemek, brzydalu, pokaż no się, wróciłem. Chcesz liści?

Znajduję go w łazience. Siedzi sobie pod umywalką, panisko.

– Przyniosłem ci liście. Pyszne liście, mmm, czujesz, jak pachną? No zeżryj sobie, masz liścia.

Zajada tak, że gdyby miał uszy, toby mu się trzęsły. Buty wrzucam do szafki, wódkę do lodówki. Zamrażarki nie mam. Pralki tylko jedną czwartą – w korytarzu stoi wspólna dla naszych połączonych mieszkań. To właśnie przy pralce poznałem Zuzę – pamiętam, że tamtego dnia ona przyniosła ciemne, a ja wszystko jak leci: bieliznę, dżinsy, koszulki w różnych kolorach.

– Mariusz – przedstawiłem się, upuszczając stertę odzieży na podłogę.

– A, to ty. – Uścisnęła mi rękę. – Zuza.

Była obraźliwie ładna. Patrząc na nią, trudno było nie myśleć o tych wszystkich kalekach, upośledzonych i dotkniętych chorobami ludziach, którzy przedzierali się przez kolejne dni, podczas gdy ktoś taki jak ona był zdrowy i jeszcze wyglądał tak. Wściekle czarne włosy, oczy wściekle wielkie. Twarz jak z reklamy. Duże piersi. Szczupła. Miałem nadzieję, że nosi chociaż aparat na zębach albo że przynajmniej jest głupia.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, odezwała się głosem, który pasowałby do kogoś znacznie starszego niż ona:

– Słuchaj, muszę ci zadać bardzo osobiste pytanie.

Przyjrzałem jej się.

– Ależ proszę.

Wzięła głęboki oddech.

– Czy ty słuchasz bułgarskiego rapu?

Po jakichś czterech sekundach:

– Rzeczywiście, bardzo osobiste.

Pokiwała głową. Schyliła się, zanurzyła ręce w kopcu dowodzącym mojej modowej ignorancji, i wygrzebała z niego białą bluzę, którą następnie dorzuciła do pralki razem ze swoimi ciuchami.

– Tak, słucham bułgarskiego rapu – odpowiedziałem do jej szczupłych pleców przedzielonych wypustkami kręgosłupa.

Wyprostowała się, wsunęła czubki palców do kieszeni krótkich dżinsowych spodni. Na bluzce miała nadruk przedstawiający okładkę jakiejś książki fantasy.

Gdybym jako czternastolatek wymyślił sobie ideał, z którym spełniałbym obezwładniające mnie wtedy nocami fantazje, wymyśliłbym właśnie ją, ale teraz ten jej perfekcyjny wygląd sprawiał, że wydawała mi się nieludzka i całkiem aseksualna.

– To długa historia – dodałem, opierając się o ścianę.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że ja też słucham bułgarskiego rapu. Ostatnio głównie Keranova i Qvkaty, których, jeśli dobrze słyszę zza ściany, a wiemy, że tu słychać wszystko, w sensie WSZYSTKO, to znaczy ostatnio słyszałam, jak wstając z łóżka, ten chłopak tutaj, wiesz, kojarzysz go, ten hipster – wskazała za siebie – westchnął sobie rano, tak wiesz, jak to się rano czasem wzdycha, i ja nawet TO usłyszałam, no więc jeśli dobrze kojarzę, to ty też słuchasz Keranova, i chyba jeszcze Dim4ou?

Kiwnąłem głową. Słuchałem Keranova. Słuchałem Dim4ou.

– No więc właśnie. Mieszkamy w półtoramilionowym mieście, gdzie bułgarskiego rapu słucha prawdopodobnie łącznie pięć osób, a może cztery, a najprawdopodobniej to jednak dwie. Więc nie dziw się, że się trochę martwię. Takie rzeczy zazwyczaj nie prowadzą do niczego dobrego.

Przyszło mi do głowy, żeby zastosować ćwiczenie oddechowe z liczeniem od jeden do czterech, bo miałem wrażenie, że trochę jednak nie rozumiem. Milczałem przez chwilę, a kiedy się wreszcie odezwałem, wyszło mi:

– Ja z kolei słyszałem, że kiedyś w Oklahomie jeden rolnik dwa razy z rzędu wygrał w zdrapce ze spożywczego milion dolarów. Różne rzeczy się zdarzają.

– Ja na razie jakieś dwadzieścia razy z rzędu nie wygrałam miliona dolarów – westchnęła. – Czekaj.

Podeszła do swoich drzwi, odwróciła się jeszcze.

– Lubisz piwo? Wyglądasz, jakbyś lubił.

Spróbowałem zbyt szczegółowo tego nie analizować.

– Dziękuję. Tak, piwo może być.

Przyniosła wtedy dwa harnasie ze swojej namiastki mieszkania, usiedliśmy – ja na podłodze, ona na pralce – i zapytała, skąd ten bułgarski rap. Zaraz też dodała, że ponieważ pranie nastawione jest na godzinę czterdzieści cztery, a wczoraj obejrzała ostatni odcinek ostatniego sezonu *Peaky Blinders*, to akurat wyjątkowo nie ma nic przeciwko długim historiom.

– Tylko to jest historia taka, że potrzebowałbym jeszcze co najmniej siedmiu piw – wyjaśniłem. – Więc może najpierw ty.

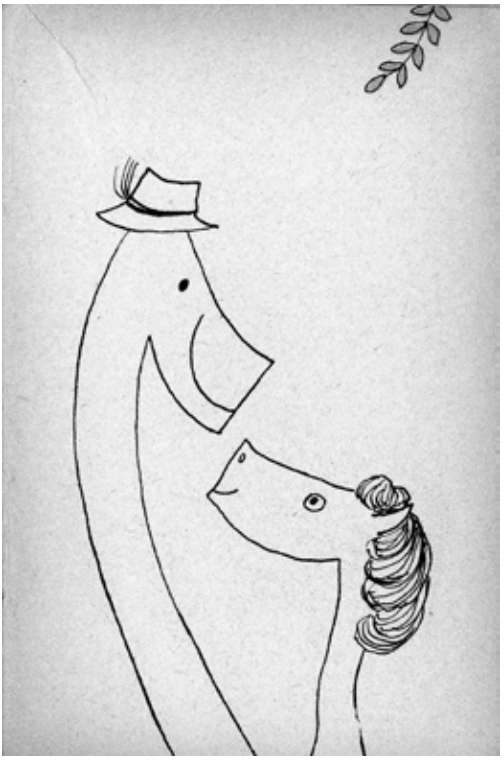
Wywróciła oczami, jakby właśnie czegoś takiego się spodziewała.

– No u mnie to bardzo normalnie: zrobiłam kiedyś domówkę i przyszło za dużo osób ze skłonnościami do nadużywania YouTube'a, no i wiesz, jak to jest. Każdy się zapuszczał w jakieś podejrzane odmęty internetu, więc potem, jak mi aplikacja podsuwała utwory,

to zasugerowała ten bułgarski rap. Miłość od pierwszego odsłuchu. No, ale na tym się nasza rozmowa urywa, bo nie mam dla ciebie kolejnych siedmiu piw.

Tamtego dnia rozmowa jednak się nie urwała, siedzieliśmy tak jeszcze godzinę czterdzieści cztery, a potem poszliśmy do niej, gdzie się czułem tak samo jak u siebie, tylko w lustrze. Rozmawialiśmy o bułgarskim rapie, o toaletach w firmie, gdzie pracowała, o toaletach w dyskotece, gdzie ja kiedyś pracowałem, o skarpetach hipstera z mieszkania po prawej, o skarpetach innych hipsterów, o kolczykach w pępku – pokazała mi swój – o tatuażach – pokazałem dwa z trzech – o Cillianie Murphym z *Peaky Blinders* – stwierdziłem, że taki sobie, na co prychnęła – a potem jeszcze o moim strzykającym łokciu, o jej skoliozie, o *Harrym Potterze* – przyznałem, że lubię – o kryminałach – przyznałem, że nie lubię – i w końcu o tym, że ja mam trzydzieści sześć lat, a ona dwadzieścia cztery.

Powieść Jakuba Małeckiego ukaże się we wrześniu Nakładem Wydawnictwa SQN.



Fortepianowa czerń

Z Bohdanem Butenką rozmawia Ewa Gruda

– W roku 1955, tuż po obronie dyplomu w pracowni Jana Marcina Szancera, podjąłeś pracę redaktora artystycznego w Naszej Księgarni. Jakie wrażenie zrobiło na tobie to szacowne, wówczas ponad trzydziestoletnie, wydawnictwo? Jaka panowała w nim atmosfera, czy odczuwało się schyłek stalinizmu, otwarcie na sztukę wyzwoloną ze schematów socjalistycznego realizmu?

– Atmosfera w Naszej Księgarni była cudowna, bardzo koleżeńska, bezpośrednia. Kiedy pojawiłem się w wydawnictwie, wszyscy byli gotowi mi pomagać. A jeśli chodzi o zmiany związane z polityczną odwilżą, to one oczywiście nie następowały z dnia na dzień. Ani w Naszej Księgarni, ani gdzie indziej. Były jednak pewne jej zwiastuny, nawet odczuwalne, o czym świadczy chociażby zielone światło dla nowych projektów, niezgodnych z założeniami socrealizmu.

– Wówczas z Naszą Księgarnią związani byli wybitni graficy. Kierownikiem artystycznym, a potem konsultantem, był przez wiele lat Michał Bylina. Współpracowali z oficyną zarówno twoi profesorowie, jak Szancer czy Sopoćko, jak i rówieśnicy z Akademii: Truchanowska, Majchrzak, Grabiański, Stanny. Na czym polegały twoje służbowe relacje z innymi grafikami?

– Moja praca nad książką zaczynała się od dostarczenia mi maszynopisu przez redakcję. Musiałem się z nim zapoznać, zaproponować ilustratora, skontaktować się z nim i ustalić termin wykonania ilustracji. Czasami graficy nie dotrzymywali terminów, trzeba było długo do nich wydzwaniać, a czasem i odwiedzać w domu, co też nie zawsze przynosiło spodziewany rezultat. Kiedy już udało mi się wydobyć gotowe ilustracje, należało je pokazać w redakcji literackiej. Zawsze w środy o dwunastej było kolegium, na którym stawiało się wiele osób, oprócz redaktora artystycznego m.in. redaktor literacki i redaktor techniczny. Dyskutowało się o ewentualnych zmianach, mniejszych lub większych. Zdarzało się, ale bardzo rzadko, że coś całkiem odrzucaliśmy.

– Jaka wyglądała wtedy droga książki w wydawnictwie? Nie korzystało się z komputerów, inny był przepływ informacji…

– Proces wydawania książki był kiedyś dłuższy i o wiele bardziej skomplikowany. Funkcjonowała w wydawnictwach tzw. karta obiegowa, która przechodziła od redakcji literackiej, poprzez artystyczną, do technicznej. Tę kartę obiegową należało w każ-

dym dziale „zwolnić". Dopiero wtedy książka mogła iść do drukarni, ale to wcale nie znaczyło, że w krótkim czasie pojawi się w księgarniach.

– To dlatego tak trudno ustalić, którą z opracowanych przez ciebie książek dla dzieci należy uznać za debiutancką?
– Tak, rzecz w tym, że nie zawsze książka, która była opracowana przeze mnie wcześniej, wychodziła szybciej niż inna, trochę później sza. W pewnym sensie moją debiutancką książką dla dzieci była powieść Ericha Kästnera *35 maja*, bo nad nią pracowałem najpierw. Ale z datą o rok wcześniejszą ukazał się *Pan Maluśkiewicz i wieloryb* Tuwima.

– O ile *35 maja* wydano bardzo starannie, edycja z 1957 roku była chyba najlepszą ze wszystkich, które miał ten tytuł, o tyle *Pan Maluśkiewicz* wyszedł w dość oszczędnej formie: z miękką okładką i kolorem na co drugim rozwarciu stron. Co o tym zadecydowało?
– Książka, zgodnie z założeniem, została wydana w serii „Poczytaj mi, Mamo", która w tym czasie tak właśnie wyglądała. Była tania, książeczki miały ogromne nakłady, prawie czterysta tysięcy, ale były wydawane na marnym papierze i nader skromnie.

– Kira Gałczyńska w niepochlebnej recenzji serii z 1972 roku pisała: „Rozumiem, że za 1,50 zł nie mogę domagać się Butenki, Siemaszkowej czy Wilkonia (…)"[1]. A jednak w tej skromniutkiej serii znaleźć można zarówno twoje ilustracje, jak i wielu innych znakomitych artystów.
– Były to w ogóle czasy dość siermiężne, a idea, żeby książeczki, dzięki niskiej cenie, docierały do każdego, jakoś nas przekonywała. Nawiasem mówiąc, niedługo po tej recenzji zmieniono projekt serii.

– W każdym razie ten skromny edytorsko *Pan Maluśkiewicz* miał kilka wydań i zapisał się w pamięci wielu osób. Głośno o nim zrobiło się znowu przed ponad dziesięciu laty, kiedy ukazało się wznowienie tytułu, tym razem w dużym formacie, z pełnym kolorem i w twardej oprawie. Książka stała się bestsellerem, zdobyła nagrody, została przetłumaczona na wiele języków, jej wersja angielska trafiła jako prezent od Ambasady Polski w Wielkiej Brytanii do brytyjskiej rodziny królewskiej. Spodziewałeś się tak triumfalnego powrotu pierwszej książki dla dzieci w twoim opracowaniu?
– *Habent sua fata libelli*. Rzeczywiście *Maluśkiewicz* w niezmienionej formie miał kilka wydań i jak mówisz, była to książka zauważona przez czytelników. W Bielsku-Białej jeszcze w latach pięćdziesiątych powstał według niej krótkometrażowy film animo-

1. Kira Gałczyńska, *Nie czytaj mi mamo…*, „Trybuna Ludu" 1972, nr 112. [Cyt. za: Elżbieta Jamróz-Stolarska, *Serie literackie dla dzieci i młodzieży w Polsce w latach 1945-1989. Produkcja wydawnicza i ukształtowanie edytorskie.* Warszawa 2014, s. 99.

wany, zresztą mój pierwszy, więc i tak miała wiele szczęścia. A z jej powrotu na rynek, i to w takiej efektownej formie, mogę się tylko cieszyć.

– Innego rodzaju powrotem było ilustrowanie przez ciebie tekstów Ericha Kästnera. Wspominasz *Emila i detektywów* jako ulubioną książkę dzieciństwa i traf chciał, że mogłeś ją zilustrować już w pierwszych latach pracy. Ale powróćmy jeszcze do *35 maja* tego samego autora. Reakcje krytyków świadczą o tym, że dostrzeżono i artyzm twojego opracowania, i nowatorstwo…

– Pojawiła się na przykład bardzo przychylna recenzja Roberta Stillera, pierwsza recenzja zilustrowanej przeze mnie książki. Chodziło właśnie o *35 maja*. Artykuł był wprawdzie krótki, ale bardzo chwalący książkę. Było w nim napisane: „Chwała wydawnictwu za śmiałość i dobry gust", do dziś to pamiętam. Słowo „śmiałość" wskazywało, że wydawnictwo przełamało jakiś schemat…

– Dostałeś także miły list od Kästnera…

– Było to naprawdę wyjątkowe wyróżnienie, bo Nasza Księgarnia nigdy nie kontaktowała się z Kästnerem osobiście, lecz zawsze przez jego agenta. A ja, po zilustrowaniu dwóch jego książek, dostałem prywatny, bardzo sympatyczny list.

– Książki dla dzieci ilustrowali w powojennym okresie najlepsi z najlepszych. Od końca lat pięćdziesiątych, przez kilka dekad, trwał w Polsce złoty wiek ilustracji. Nie tworzyliście programów, manifestów, różniliście się między sobą, ale łączyło was jedno: wysoki artyzm opracowań. Jak sobie radziliście w czasach wyraźnych niedostatków peerelowskiej poligrafii?

– Czasami te niedostatki wyzwalały w artystach pokłady pomysłowości, ale rzeczywiście nie było łatwo. Drukarnie stawiały warunki, bo było ich w tym czasie niewiele, mogły sobie na to pozwolić i zdecydowanie z tego korzystały. Jeśli wydawnictwo miało zbyt wysokie wymagania, drukarnia po prostu rezygnowała ze współpracy. Inną rzeczą, z którą musieliśmy sobie radzić, był brak podstawowych materiałów, takich jak chociażby brystol. Kto mógł, przywoził sobie zza granicy, na przykład z NRD, z Berlina, gdzie był fantastyczny na owe czasy sklep. Kiedy po raz pierwszy pracowałem na Zachodzie, miałem do dyspozycji takie materiały, o jakich mi się nie śniło. A tu, w Polsce, trzeba było sobie jakoś radzić.

– Wróćmy jeszcze do twoich pierwszych książek. Już w *35 maja* można dostrzec rozpoznawalne cechy twoich opracowań, na przykład ograniczanie wizerunków postaci do cech absolutnie niezbędnych. Czy celowo nawiązujesz do dziecięcego sposobu rysowania?

– Nie, nie myślę tak o moich ilustracjach, ale zawsze biorę pod uwagę oczekiwania dzieci. Trochę je poznałem, czytając opinie młodych czytelników na swój temat zawarte w pierwszej pracy magisterskiej poświęconej mojej twórczości. Dzieci zwracały na przy-

kład uwagę, że dobrze znam tekst książki i moje ilustracje są z tekstem ściśle powiązane. Wiem, że mali odbiorcy bywają bardzo uważni. Czują się rozczarowani, gdy w tekście dziewczynka ma warkocze, a na ilustracji nosi krótką fryzurkę. Albo z tekstu wynika, że najchętniej biega w spodniach, a ilustrator uparcie ubiera ją w sukienki. Staram się tego nie robić. Jeśli sweter jest w zieloną kratkę, to ja tę zieloną kratkę pozostawiam także w ilustracji.

– Twoi bohaterowie, choć stworzeni za pomocą kilku kresek, nie są bynajmniej pozbawieni osobowości. Coś do nas mówią spojrzeniem swoich punkcikowych oczu, mimiką. Każdy gest, ustawienie rąk i nóg, lekkie przygarbienie pleców, pochylenie głowy – wszystko jest oddane z wielką precyzją, zgodne z charakterem, wiekiem, płcią rysowanej postaci. A także z uchwyconą fazą ruchu. Jak dochodzisz do tej właściwej kreski, która umie wyrazić wszystko? Wykonujesz wiele szkiców?
– Różnie. Czasami ten pierwszy jest dobry, a czasami próbuję wielokrotnie. Liczy się rezultat, a to, w jaki sposób się go osiągnie, jest moim zdaniem mniej ważne.

– Niektórzy czytelnicy po latach przyznają się, że twoje, pozornie proste ilustracje zachęcały ich w dzieciństwie do naśladownictwa, bo wydawało się im wtedy, że bez większego trudu potrafią narysować tak samo. Jak reagujesz na takie zwierzenia?
– Kopiowanie nie jest niczym złym. Zwykle kopiują te osoby – dzieci czy nawet dorośli – które już potrafią coś narysować albo namalować. Chcą umieć więcej, nauczyć się rysowania detali, oddania ruchu. To są trudniejsze umiejętności, więc szukają wzorców, które mogłyby naśladować. A że kopiowanie wydaje się proste… Szybko można się przekonać, że tak nie jest.

– Prawie wszystkie dzieci rysują, mają własne pomysły i dużą wyobraźnię. Jak to się dzieje, że potem tracimy te zdolności?
– W przeważającej większości winni są dorośli, którzy konsekwentnie zadeptują dziecięcą fantazję, narzucając swoje wzorce, według których niebo musi być niebieskie, słońce żółte, trawa zielona, a ściany domu tak proste i gładkie, że najlepiej rysować je przy linijce. I te dzieci, których przedszkolne rysunki często są bardzo pomysłowe i niepowtarzalne, potem rysują schematycznie, nieciekawie.

– Czy podczas warsztatów, które prowadzisz z dziećmi, próbujesz to jakoś przełamać, zachęcić dzieci, by słuchały siebie, szły własną twórczą drogą?
– Na pewno podczas warsztatów nie nauczę nikogo rysować. To wymagałoby wielu indywidualnych spotkań, a ja pracuję zwykle około dwóch godzin lekcyjnych z kilkunastoosobową grupą dzieci, czasami przyznających się wręcz, że nie lubią rysować. Staram się, żeby odnajdywały w tym przyjemność, a nie podchodziły jak do zadanej lekcji. Bo zadaną lekcję trzeba „odwalić" jak najszybciej, więc najłatwiej jest zerknąć na